№ 32.

Warszawa, dnia 8 Sierpnia 1863 r.

TYGODNIK MÓD

NOWOŚCI DOTYCZĄCYCH GOSPODARSTWA DOMOWEGO.

Cena. **w Warszawie** *kwartalnie* złp. 10 (rsr. 1 kop. 50); *półrocznie* złp. 20 (rsr. 3); *rocznie* złp. 40 (rsr. 6). **Na Prowincji** *rocznie* złp. 50 (rsr. 7 kop. 50); *półrocznie* złp. 25 (rsr. 3 kop. 75).— **W Cesarstwie i Królestwie,** z dopłatą kopert pocztowych, *rocznie* złp. 63 gr. 10 (rsr. 9 kop 50; *półrocznie* złp. 31 gr. 20 (rsr. 4 k. 75).

Prenumerować można w Redakcji przy ulicy Żabiéj Nr. 956 *b*, w domu Krzemińskiego; w Kantorach pism perjodycznych; na stacjach pocztowych i we wszystkich księgarniach tak w kraju jak i za granicą.— —**Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki, prosimy** adresować — *Do J. K. Gregorowicza w Warszawie, ulica Żabia Nr. 956 b, dom dawniéj Krzemińskiego.*

Od Redakcji.

Ponieważ często się zdarza, że niektórzy p.p. *Księgarze Warszawscy* zwracając kompleta Tygodnika Mód, oddają je zniszczone, poplamione i nie w całości, ale z brakami całych numerów lub niektórych dodatków, co Redakcji znaczną przynosi szkodę, z tego powodu zmuszeni jesteśmy ogłosić, że tylko te egzemplarze przyjmowane będą od p. p. Księgarzy jako zwrotne, które nieuszkodzone powierzchownie, żadnych nie będą miały braków tak w numerach jak i w swych dodatkach. Wszelkie zaś inne uważać będziemy, jako prenumerowane a więc obowiązane do kwartalnéj opłaty, któréj wniesienia stanowczo dopomniemy się.

Nadmieniamy przytém, że pojedynczych numerów, jak również rycin, tablic z haftami lub innych dodatków, w ciągu roku zupełnie nie przedajemy, oświadczanie więc gotowości zapłacenia samych braków, przyjętém nie będzie, co p.p. Księgarze, przez wzgląd na słuszność naszego żądania raczą uwzględnić

ELEKCJA I KORONACJA AUGUSTA III.

(Dalszy ciąg).

Kiedy król August zbliżył się do bramy, wystąpił magistrat krakowski i Łopacki, senator miasta, powitał go mową wybornie po łacinie ułożoną. W niéj wyraził się, że całe stołeczne miasto niezmiernéj doznaje radości, witając w progach swoich przyszłego pana tronu polskiego, i widząc tak wielkiego gościa szczęśliwie przybyłego z podróży. Życzy mu więc, aby po fatygach i niewczasach podjętych, spoczął na tronie przeznaczonym mu skrytych wyroków *predestynacją.* Na te komplementa odpowiedział znowu w imieniu królewskiém referendarz Dębowski, następnie rajcy przystąpili do ucałowania ręki, którą król podawał każdemu, siedząc na koniu.

Wszystkie jednak te powitalne ceremonje niezmiernie były wymuszone, i Kraków pomimo

zgromadzonych tłumów, tak był nieprzychylnie usposobiony dla nowego elekta, że starszyzna i obywatele miasta nie mieli nawet ochoty do przystrojenia bram, czego przy podobnych wjazdach królewskich z wielką wspaniałością dopełniano. Dowiedziawszy się jednak o tém panowie, przez których intrygi August III tron uzyskał, pod surowém zagrożeniem ciężkiéj kary, nakazali poczynić stosowne przygotowania. Dopełniono więc z musu przez bojaźń tego, czego dobrowolnie uskutecznić nie chciano, i stanęły bramy tryumfalne, przystrojone i ufestonowane, otwierając swe podwoje na przyjęcie gościa cudzoziemskiéj nacji, tylko się nie otworzyło serce narodu, i pozostało jak dawniéj ciche, smutne i zamknięte, jakby dręczone marami, co miały spaść na niego w niedalekiéj przyszłości.

Pierwsza brama od ulicy Florjańskiéj, którą jechał król jegomość, wysokością swą równała się narożnym kamienicom, i miała na facjacie cztery wyobrażone elementa a między niemi herby królewskie. Na drugiéj stronie od rynku oddane były cztery pory roku, a między niemi herby saskie.

Druga brama od Grodzkiéj ulicy, kamienicom narożnym także równająca się, téj saméj prawie struktury co pierwsza, na facjacie od przyjazdu miała cztery cnoty główne, pędzlem malarskim oddane. Na drugiéj facjacie od ulicy Grodzkiéj, kunszt malarskiéj inwencji cztery strony świata wyraził.

Król przejechawszy przez te bramy, wjechał na zamek i wtenczas odezwały się działa, bijąc salwy po kilkanaście razy, na uczczenie królewskiego gościa. Drugiego dnia, to jest 16 Stycznia biskupi i inni panowie, przybywszy na zamek, radzili królowi, aby w wigilją nastąpić mającéj koronacji, stosownie do dawnych zwyczajów swych poprzedników, dzień ten strawił na nabożeństwie, medytacjach i zwiedzaniu kościołów. Znając August, jak zachowywanie wszelkich zwyczajów narodowych, jest niezbędném przynajmniéj w pierwszéj chwili panowania, jako zwracających na siebie pilne wszystkich oczy, zgodził się chętnie na zrobione mu przedstawienie, i natychmiast udał się do kościoła katedralnego, zostając w nim do końca nabożeństwa. Prosto z kościoła zasiadł natychmiast do wspaniale zastawionych stołów, i blisko trzy godziny w pośród licznego i wesołego grona, napełniwszy wprzód ducha udaném nabożeństwem, karmił ciało, zawczasu przyzwyczajając się do zbytków, którym dosyć późniéj hołdował. O czwartéj po południu, król na nowo wyruszył w pobożną pielgrzymkę i wybrał na ten cel kościół S. Michała na Skałce, sławnego śmiercią S-go Stanisława męczennika. Tą razą jednak dla urozmaicenia sobie, nudzącéj go zapewne pielgrzymki jakby pokutniczéj, przybrał do swego boku liczne grono przychylnych mu senatorów, ministrów, urzędników i dworzan, i pieszo w asystencji wojska saskiego, udał się w zamierzoną podróż.

Kościół ten stojący na wzgórku skalistym, tradycyją swą sięga niezmiernie dalekiéj przeszłości, wymykającéj się prawie z surowéj krytyki historycznej. Król mając sobie wskazane miejsce, do którego obecnie dążono, zapytał się biskupa Lipskiego.

— „Mości biskupie krakowski, nie mógłbyś mnie objaśnić z przeszłością téj choć skromnéj i niewielkiéj świątyni, ale jakoś niezmiernie imponującéj. Czasu na opowiadanie nie żałuj, a dobrze, że król polski dowie się coś o miejscu uczczoném ogólném narodu poważaniem".

Biskup z układnością wytrawnego dworaka, stanął wprędce przy boku królewskim i z lekka uchylając głowę odrzekł:

— „Zaiste, miłościwy panie, poważanie o jakiém raczyłeś wspomnieć, nigdy słuszniéj nie należało się nikomu, jak miejscu do którego dążymy. Na wzgórku skalistym, zwanym Skałka, według podania miała się niegdyś znajdować świątynia pogańska, ale król Mieczysław I przyjmując wiarę chrześcjańską, zniósł ją, a na to miejsce kazał postawić kaplicę pod opieką S. Michała. O ile to podanie jest prawdziwe, trudno ocenić, ale to jest pewném, że już w jedenastym wieku wznosił się tu kościół drewniany, i ściągał pomiędzy swe ściany tłumy pobożnego ludu. Napływ ten wiernych widać że nie ustawał, kiedy Kazimierz Wielki, widząc kościołek w ruinie, wystawił nowy murowany. I znowu chwała Boża sławioną była modlitwą i nabożeństwem pielgrzymów chrześcijańskich, ściągających się z różnych stron świata, ale czas, niszczyciel wszystkiego, począł czynić liczne szczerby w Kazimierzowskiéj budowli. Wówczas rozpoczęły się wielokrotne odnawiania i poprawy, które ciągle kłopocząc władze, spowodowały wreszcie to, że za staraniem Jana Długosza znanego historyka, sprowadzono księży Paulinów z Częstochowy, i wybudowano klasztor do którego dążymy. Zakonnicy wdzięczni za dobrodziejstwa doznane od owego fundatora, po śmierci tegoż, ciało zacnego historyka przyjęli do grobów kościelnych i pomieścili go w miejscu poświęconém krwią świętego męczennika. Nie każdego równe szczęście czeka." Zakończył biskup wznosząc pobożnie oczy ku niebu, a król uśmiechnął się i rzekł:

— „Już to księżc biskupie, mimo wszelkich korzyści z tak zaszczytnego umieszczenia po śmierci, wolę ja zawsze za życia twoje towarzystwo. Podania okryte pleśnią, smaczne ale tylko dla amatorów, w każdym zaś razie nie wytrzymują porównania z kapłonem napełnionym truflami, i kiedy z pod czarnych brwi nowożytna Hebe, rzuca promienie a właściwiéj mówiąc płomienie.”

Grono dworaków uśmiechnęło się, naśladując pana uśmiechającego się także, a biskup odrzekł:

— „Miłościwy panie! czy to Hebe, czy huryska z raju Mahometa, w niczém smaku ani kapłona, ani trufli nie popsuje. Jest to pewnik potwierdzany nie raz i nie dziesięć nawet, przez zgasłego rodzica waszéj królewskiéj mości, szczególnego wielbiciela i znawcę podobnych przysmaków.”

— „Choć gustu księże biskupie ganić nie można, odezwał się król, ale bliższy rozbiór tak ważnéj kwestji zostawmy na późniéj, przynajmniéj do chwili, kiedy cel podróży przed nami nie będzie tak poważny i tak namaszczony świętością. Raczéj weźmy się do pieśni nabożnych, a przynajmniéj do rozmyślań, o męczeńskiéj śmierci świętego, która choć mu dała niebo, nie obudza jednak we mnie chęci dostania się tą drogą do grona wybrańców.

Dworacy znów się uśmiechnęli, a król spojrzawszy na Dębowskiego, rzekł doń:

— „Mój referendarzu, wasz Bolesław to harda i zuchwała sztuczka, zazdroszczę mu ręki, co tak dzielnie umiała bronić powagi królewskiego majestatu. Gdyby rodzic mój miał rękę Bolesława, pan Stanisław Leszczyński z szajką swoich adherentów, nie plądrowałby po piwnicach Gdańska, a ja nie znałbym kłopotów domowéj wojny. Na prawdę jest czego zazdrościć.”

— „Zwodne to uczucie, najjaśniejszy panie, odezwał się na to Dębowski, biskup Stanisław zginął, ale i król Bolesław musiał uciekać z kraju, i przepadł bez wieści, pochowany bez nagrobku, choć był dzielnym wojownikiem, i panem bogatego i obszernego kraju. Polacy pełni pokory i uszanowania dla swych monarchów, miłościwy panie, ale nigdy nie zapominają, że są obywatelami Rzeczypospolitéj.”

— „Dobrze to wszystko, troszkę już z marsem odpowiedział król, ale nic to nie sprzeciwia się życzeniu, aby pana Leszczyńskiego razem ze spodziewaną przez niego pomocą francuzką przepłoszyć za morza i lasy. Ci nieproszeni goście pana Stanisława”...

— „I Sasa, ktoś szeptem dodał tak jednak głośno, że sie August obrócił, i przerwał nagle mowę, a pan Dębowski chcąc naprawić pomieszanie wszystkich, i zwrócić uwagę na inny przedmiot, jak najczęściéj bywa w podobnych razach, spadł z deszczu pod rynnę, bo rzekł:

— „Oj! ci nieproszeni goście, gdyby nie ich wścibstwo”....

W téj chwili król obrócił się do biskupa i nie czekając na ukończenie rozpoczętego frazesu, zapytał go o uposażenie kościołka na Skałce.

Biskup więc Lipski na nowo głos zabrał, a król słuchał w milczeniu zapewne myśląc w duszy, jak sobie radzić, aby zamiary ojca owładnięcia tronem i narodem przyprowadzić do skutku.

Przybywszy na Skałkę, król pomodlił się bardzo krótko, kontent że się zbył już przecie nudnego choć świątobliwego zwyczaju swoich poprzedników, wsiadł następnie do wspaniałéj karocy, i przy odgłosie tak saskiéj jak i krakowskiéj kapeli, trąb, kotłów, bębnów i t. d., oraz przy hucznem biciu dział miejskich i zamkowych na zamek powrócił. Tu dopiero odetchnął swobodniéj, przymus zrzucił z siebie, i w pośród grona zaufańszych osób zasiadł do wieczerzy, a nie do modlitwy, jak to dopełniali nieodżałowani Jagiełłowie, uważając obowiązki króla za wielkie i święte, do objęcia których tak się przygotowywali, jak do spowiedzi, z wielką skruchą i nabożeństwem.

(d. n.)

KORRESPONDENCJA Z PARYŻA.

Wiele razy tylko dowiem się o jakich niezwyczajnych wypadkach, jak np. o zniszczeniach wulkanicznych, zasypach śniegowych, trzęsieniach ziemi, lub strasznych kaprysach morza, nie przytrafiających się nigdy na naszéj ukochanéj rodzinnéj ziemi, tyle razy wznoszę ręce ku niebu z dziękczynieniem, że choć przed temi klęskami Bóg ją zasłonił jeograficznem położeniem. Pomijając zniszczenia przez morze, śnieg i ogień, poruszania się ziemi w skutkach bywają czasami tak nagle i straszne, że wrażenie pozostaje na całe życie i nie opuszcza człowieka już na całe życie.

Wiadomo powszechnie, że w krajach cokolwiek oswojonych z trzęsieniem ziemi, przy najmniejszych oznakach mającéj nastąpić katastrofy, wszystko co żyje ucieka z budynków na wolne miejsce, aby się tym sposobem uchronić od zagrzebania żywcem w gruzach padającego domowstwa. Otóż znałem jednego, który znajdował się w Lizbonie podczas ostatniego trzęsienia, co to ani jednego prawie nie zostawiło gmachu bez rysy lub uszkodzenia. Przestraszony, strwożony, razem z inne-

mi mieszkańcami, ocalenia szukał najprzód w ucieczce na środek ulicy, i to go jedynie zachowało przy życiu, bo w kilka sekund po opuszczeniu mieszkania, z największym łoskotem zapadł się sufit, druzgocząc w drobniutkie kawałki wszystko co znalazł pod sobą. Rozbitek więc choć nie na morzu, chwilowo stracił wszystko, i tak mu wypadek ten utkwił w pamięci, tak żywo odmalował uniknione niebezpieczeństwo, że w dziesięć przeszło lat, znajdując się w Paryżu obudzony w nocy ogromnym łoskotem, sprawionym przypadkowym zapaleniem się fajerwerku w sąsiednim domu, sądząc, że to podziemny huk, ów groźny zwiastun poruszenia ziemi, nie namyślając się i chwili, prosto z łóżka wyskoczył oknem, na szczęście z dołu na ulicę, i otulając się jedyną swą płócienną dosyć szczupłą osłoną, przykucnął na bruku, oczekując dalszych skutków podziemnego gniewu natury. Wkrótce zgromadzili się ciekawi, nadeszła policja, a zobaczywszy na pół obnażonego człowieka i do tego siedzącego wśród nocy w kuczkach na środku ulicy, naturalnie poczytała go za warjata, i gawiedź wybuchła śmiechem, a policja chciała wziąć do kozy. Wyjaśnienie rzeczy uwolniło go i od śmiechu i od kozy, ale mimo tego nie wyrzekł się opuszczenia domu w każdéj chwili równie nagle i niestrojnie, ile tylko razy najmniejsze poweźmie podejrzenie mającego nastąpić trzęsienia ziemi.

Straszne to zjawisko natury, niedawno nawiedziło Digne, położone w departamencie Alp Niższych. O godzinie dziesiątéj, nagle przerażeni zostali mieszkańcy wstrząśnieniem, które poprzedził huk głuchy. Ziemia domy i sprzęty zadrżały w kierunku z południa na północ, a dzwony zadzwoniły jakby poruszone ręką ludzką. Leżący w łóżku czuli przerywane kołysanie, trwające więcéj dwóch sekund. Trzęsienie to jakkolwiek bardzo gwałtowne, nie pociągnęło za sobą żadnych wypadków nieszczęśliwych, które południową Francję, dosyć często dotykają.

Wiadomo że kraj pomiędzy Alpami a Rodanem położony, zajmuje zaledwie dwunastą część całego cesarstwa, a jednak na 450 trzęsień ziemi wydarzonych na całéj kuli ziemskiéj od roku tysiącznego. 45 przypada na południową część Francji. W Beynes w tym samym czasie, także gwałtowne trzęsienie czuć się dało. Kościół i wiele mieszkań mocno ucierpiały, dachy połamały się, mury obaliły. a ogromne sztuki skał stoczyły się na pola. Mieszkańcy spędziwszy noc na dworze, a lękając się ponowienia wstrząśnień, których w żaden sposób przewidzieć nie można, rozpaczają i lękają się już nie tylko o domy, ale nawet i o własne bezpieczeństwo, aby ich nie pochłonęła ziemia, na któréj szukali ocalenia.

W Czechach, na które coraz więcéj Europa zwraca oczy, ciesząc ze zwycięzkiego oporu jaki stawiają uciskającéj je niemczyznie, zawiązało się niedawno towarzystwo pod nazwą: *Zlota kniha divek ceskych*, złota książka panien czeskich, mające za cel wydawać książki czeskie dla panien, na tysiącletnią pamiątkę zaprowadzenia chrześcijaństwa. Dążność Czechów skierowana zawsze i wszędzie do dzwigania oświaty i życia narodowego, godną jest największego uznania i naśladowania w wielu bardzo szczegółach.

Towarzystwo Złotéj Księgi składa się z samych panien, co rok ma wydawać jedno dzieło treści nauczającéj i rozrywkowéj, dzielące się na dwa oddziały: Złote listki dla panienek do dwunastego roku życia, i Złote kłosy dla panien starszych. Jak zaś każda myśl pożyteczna znajduje wielkie poparcie w Czechach, najlepiéj świadczy liczba panien należących do Towarzystwa, które choć niedawno założone, już liczy 2,500 członków. Obecnie pierwsza książka, wydaną została, i rozsyłają ją na wszystkie strony panienkom należącym do Towarzystwa.

Rozpatrując się po świecie, widocznie coraz więcéj kobiety wdzierają się w szranki literackie i naukowe, zawstydzając wielu mężczyzn, co czytanie powieści jest dla nich jedyną nauką, a dzieła poważniejsze są zbyt wysokie progi na ich nogi, czyli głowiny, pod moralnym względem mało się od nóg różniące.

U nas w niewieściéj literaturze przodują panie Pruszakowa, Ziemęcka, Żmichowska, i Ilnicka, mogące w każdéj innéj, choćby angielskiéj lub francuzkiéj przeważne zająć stanowisko. Innych piszących Polek nie wspominam, znacie je, a choć nie są jak wymienione, gwiazdami pierwszorzędnemi, zawsze wiele pracą swą niosą krajowi pożytku.

(d. c. n.)

DOMOWE OGNISKO.

O! jak to błogo w zimowéj porze,
Zasiąść u swego ogniska,
Gdzie choć wiatr zimny świszczy na dworze,
Jaskrawy ogień połyska.

A myśl gdzieś lekka daleko goni,
Ścigając nitkę wspomnienia,
Kwiat dawno zwiędły, kwitnie i woni,
W blasku przeszłości promienia.

O! jak to miło przy iskier żarze,
Z wolném sumieniem i głową,
Swych ukochanych oglądać twarze,
Słuch poić słodką ich mową.

I w ślicznych rysach, aniołów-dziatek,
W śmiechu ich lubéj radości,
Przeczytać kartę dalszych gdzieś latek,
Swietną nadzieją przyszłości.

Ach! i te pączki wczoraj poczęte,
Ogrzać w miłośnym uścisku,
Wszystko co drogie, wszystko co święte,
Zjednoczyć przy swém ognisku.

I w tkliwéj duszy obok pamiątek,
I drogich sobie postaci,
Ciepły, odświętny zachować kątek,
Dla smutnych i zziębłych braci.

I na przekorę losów zawiei,
W zwątpiałych zapał rozniecić,
Ciepłem miłości, światłem nadziei,
Manowce życia rozświecić.

Och! bo na świecie, sierot tak wiele,
Które żal ciężki uciska,
I wyższe życia pchnęły ich cele,
Od domowego ogniska.

Och! bo na świecie szczęścia tak mało,
Tak często spotkasz niedolę,
A rzadko boleść wieńczoną chwałą,
Z jasną pogodą na czole.

Mało tam ciszy, częściéj huk burzy,
Wstrząsa myśl błędną człowieka,
Że sam najczęściéj w życia podróży,
Od celu jego ucieka.

I odpychając myśli niewinne,
W młodości burzliwéj lata,
Porzuca ciche szczęście rodzinne,
Dla uciech zwodnego świata.

Ależ się w walce upaść nie godzi,
Z złą myślą i życia znojem,
Bo nas u kresu niebo nagrodzi,
Lubym, wewnętrznym pokojem.

A więc nie szczędźmy siły swéj dłoni,
Gdy nam nadzieja połyska,
Że kiedyś siędziem z szronem na skroni,
U domowego ogniska.

Wtedy już z serca pierzchnie tęsknota,
A kiedy w kółko rodzinne,
Zajdzie zbłąkany życia sierota,
Zastanie miejsce gościnne.

E. Leja,

---

*
* *

Kronikarz Tygodnika Illustrowanego w ostatnim numerze narzekając na niepraktykowane i niczém nieusprawiedliwione podnoszenie się ceny na targach Warszawskich produktów najpierwszych potrzeb życia, uważa to niejako za przyczynę mnożącego się coraz bardziéj żebractwa po ulicach Warszawy. Jakkolwiek wzmagająca się drożyzna, najdotkliwiéj dotykać zwykła klasę wyrobniczą, sądzę jednak, że nie w tém leży główna przyczyna złego, bo u nas żądań pracy nigdy nie brakuje, a wynagrodzenie za nią rośnie w stosunku prostym podnoszących się cen targowych, nie obniżając się nigdy za ich spadaniem. Dowodem tego najlepszym cena najmów wiejskich, i pieniężnych wynagrodzeń służących tak wiejskich jak miejskich, które od pewnego czasu prawie podwoiwszy się, ciągle jeszcze dążą do podniesienia się.

Nie drożyzna więc mnoży ubóstwo we wszystkich miastach, a szczególniéj w Warszawie, zmieniające się w prawdziwą plagę, ale brak wykonania przepisów obowiązujących; nierozważne a tém samém szkodliwe miłosierdzie mieszkańców, i zamiłowanie próżniactwa, podsycanego łatwym zarobkiem pod przybraną szatą nędzy. Gdyby to miłosierdzie mogło się zorganizować, na korzyść prawdziwéj biedy, i rozciągnęło ścisłą kontrollę nad ubóstwem zalegającém przedsionki kościołów, bez którego jeszcze świątynie polskie obejść się nie mogą, jestem przekonany, że żebractwo uliczne, przynajmniéj w znacznéj części, niezmierniebyby się umniejszyło.

Kronikarz przytacza żebraka wyprostowanego zapiętego pod szyję, z medalem Napoleońskim u piersi, który przykładając palce do czapki po wojskowemu, chodzi od ławki do ławki w Saskim ogrodzie, i buchając wonią wódki, prosi o jałmużnę. Bezczelnego tego żebraka, zdatnego jeszcze jeżeli nie do ciężkiéj pracy, to przynajmniéj do posługi lokajskiéj przy kawalerach, znam doskonale i zawsze za ukłon ukłonem płacę, i na tém koniec! Za piękne więc, jak mówi przysłowie, oddaję nadobne. Gdyby wszyscy tak zrobili, żebrak pozbawiony zarobku, musiałby odwyknąć od próżniactwa i gorzałki, a zabrałby się do pracy i trzeźwości. Ale gdzie tam! mało która ławka, aby mu jakiegoś plonu nie przyniosła, tu trojak, tam piątka, tu dziesiątka, dość że dłoń coraz się lepiéj napełnia, po cóż więc ma myśléć o jakiém zajęciu i trzeźwości? Drugiego żebraka przytacza kronikarz jakiegoś niemłodego Izraelitę, a po-

dobno nawet już właściciela stutysięcznéj fortuny. Czy opinja ta jest sprawiedliwą, nie umiem powiedzićć, znam go tylko od lat 17, i nigdy nie proszącego o więcéj jak o jeden grosik. Na wszelkie uwagi tyczące się, czy to ciężkich czasów, czy konieczności pracy, czy wreszcie braku pieniędzy przy sobie, zawsze jedno odpowiada.

— „Jeden grosz, tylko o jeden grosz proszę."

Jeżeli uwagi się nie kończą, żebrak podnosi głos coraz silniéj, z prośbą o jeden grosik, jakby się dziwił skąpstwu napadniętego, że się targuje w tak małém z jego strony żądaniu. Natarczywość ta w tak umiarkowanéj prośbie w końcu rozśmiesza i najczęściéj już nie grosz ale większa ofiara kończy targ na wpół serjo, na wpół żartem prowadzony.

Znam także młodego żydka siedemnastoletniego, który z dzieckiem na ręku przez pewien czas, od głowy do pasa chodził przebrany za dziewczynę, zawieszony z przodu fartuchem, a raczéj jakąś ścierką znalezioną na śmietniku. Nie daleko od niego napadała na przechodniów młoda dziewczyna także Izraelitka, ze starannie obwiniętą głową, aby ukryć młodość twarzy zupełnie na żebraczkę nie wyglądającéj. Maskarada ta jednak przy Reformatach, widać że im nie bardzo dopisywała, bo znikli nagle z téj części miasta przenosząc się zapewne w inny punkt zyskowniejszy.

Gdybym Wam chciał opisać wszystkich żebraków oszustów, włóczących się wszędzie i zawsze po ulicy, kościołach, ogrodach, sklepach, piętrach i mieszkaniach, zabrakłoby mi miejsca, a Wam cierpliwości. Rzecz więc tę o żebractwie, zamykam uwagą, że to niegodziwe wyzyskiwanie miłosierdzia publiczności i jéj powolności nie tylko powiększa demoralizację, ale nadto rzeczywistą przynosi szkodę prawdziwemu ubóztwu, zwykle nieśmiało wyciągającemu rękę, i nieśmiejącemu być ani natrętném, ani niepozbytém. Z litości więc chrześcjańskiéj, zyski po większéj części ciągną sami oszuści, gdy prawdziwie ubodzy gdzieś na poddaszach, wnędzy, chłodzie i głodzie, często na próżno wyczekują wsparcia.

Już raz zrobiłem uwagę o wyrzuceniu z mowy naszéj niewłaściwych tytułów pan, pani, a zastąpienie ich drugą osobą liczby mnogiéj Wy.— W przedmiocie tym Jutrzenka pismo dla Izraelitów polskich, i dla nas także niezmiernie uczące i ciekawe, następującą pomieściła od siebie odpowiedź.

Zwrócono uwagę naszą na niestosowność przemawiania do kogoś w osobie drugiéj liczby mnogiéj: wy, was, kochacie, zamiast: pan, pana, kocha, bo uważają to jako obrazę grzeczności.

Nie jesteśmy tego zdania, prassa publiczna już nieraz powstała przeciw zwyczajowi, używania w przemowie wyrazu pan, niezgodnemu z duchem języka polskiego, na zachodzie Europy znają się dobrze na grzeczności, a jednak wszędzie używają 2 lub 3 osoby, liczby mnogiéj. Vous, You, Sie, Ihnen i t. d. Francuz nie mówi: Monsieur dit, ani niemiec: Der Herr sagt, ale: vous dites, Sie sagen.

Upraszamy więc sz: Korrespondentów naszych, aby pisząc do nas, a mianowicie rzeczy mające być drukowane w Jutrzence, nie nadawali ani nam, ani innym Korrespondentom pańskości, któréj tu propagować nie chcemy, ale przemawiali do nas podług zwyczaju staropolskiego i europejskiego, a my także przynajmniéj w tym Tygodniku, w przemowie do korrespondentów naszych, postępując za przykładem innych pism perjodycznych krajowych, tego zwyczaju stale się trzymać będziemy.

Na tém się kończą uwagi Jutrzenki na które się zupełnie piszemy.



Pomiędzy sukniami wełnianemi pomimo lata i czasami panujących upałów, dla swéj skromności powszechnie dziś używanemi, niekiedy tylko zobaczyć można suknie czarne bareżowe, mające tę wielką zaletę że się nie gniotą, i nie potrzebują ciągłego prasowania. Z gęstego bareżu czarnego robią *Gabrjele* kuliste i nie odcinane w stanie. Widzieliśmy właśnie w magazynie panien Kuhnke, taką suknię, przybraną z przodu trzema fularowemi ruszkami, przechodzącemi z obu stron od ramienia aż do samego dołu spódnicy. Rusze te układane w pojedyncze fałdy, zwężone były w stanie, a rozszerzone na ramionach i u dołu. Rękawy suche na fularze, miały od ramienia epolet złożony z falbany bareżowéj, objętéj pliską; u ręki szło po sześć guzików aż do łokcia.

Inna suknia także bareżowa czarna, w białe przerabiane kółka, spódniczkę miała zupełnie gładką, stanik także gładki, pod szyję, na wyciętéj podszewce wygarnirowany był ruszką jedwabną

z białym brzeżkiem, w taki sposób, że garnirunek oznaczał jakby gorsecik szwajcarski. Na przód spódnicy od paska, spadały dwie szerokie szarfy, wcięte u dołu w ząb i obszyte frendzlą, z dwoma z obu stron kieszonkami. Rękawy w górze szerokie, zwężone zupełnie od łokcia miały w górze po jednéj bufie podpiętéj kokardą. U ręki oznaczony był mankiet ruszką naszytą w ząb śpiczasty. Ruszka z białéj i czarnéj koroneczki, tak u szyi jak u rąk dopełniała ubrania.

Ładna też była suknia muszlinkowa czarna, w rzucane gałązki białe. U dołu spódnicy, dany był nadpowietrzny wolant, rozszerzony z przodu a znacznie węższy w tyle. Nad wolantem szła ruszka z takiegoż muszlinku, przedzielona przez środek plecioneczką białą. Stanik marszczony, przepasany był paskiem szwajcarskim z dwoma odwróconemi od siebie zębami. Z tyłu spadały od niego dwie szarfy, zakończone ruszką. Rękawy wolne tak aby ręka przejść mogła, ścięte od łokcia, wygarnirowane były ruszką, wkoło i przez środek.

W tymże magazynie podobał nam się kapelusz włosiany czarny w białe delikatne paski, przybrany na wierzchu węzłem krepowym czarnym, ze spadającemi na bok końcami, obszytemi koronką. Z pod węzła wychodziło małe strósie piórko, zawrócone przez rondo na podpięcie. Djadem z koronki przepiętéj czarnemi gronami, blondynka czarna po bokach, i szarfy czarne dopełniały całości.

Przejdźmy teraz do bielizny, któréj znaczny skład widzieliśmy u pana Sokołowskiego obok Bernardynów. Wszystkie przedmioty odznaczają się w tym składzie, bardzo umiarkowaną ceną. Uważaliśmy na przykład koszule nocne damskie, z kołnierzem stębnowanym w zęby, po złp. 20, dzienne bardzo starannie odrobione po złp. 26 gr. 20. Dzierganych dziennych dostać można po złp. 26 gr. 20.

Kaftaniki nocne i ranne, zadziwiły nas bardzo nizką ceną, w stosunku do starannego ich wykończenia. Nocnych perkalowych dostać można od złp. 10; ranne bardzo ładne, naszywane w zakładki, przerabiane bawełną czarną w rozmaity sposób, kosztują od złp. 16 gr. 20 do 26 gr. 20. Czepeczki ranne muszlinowe, z okrągłém denkiem, haftowane białą i czarną bawełną, ogarnirowane muszlinem, z końcami do wiązania, są w cenie od złp. 6 do 12. Kołnierzyków płóciennych, wyszytych czarną lub białą bawełną, wraz z odpowiedniemi mankiecikami dostać można na złp. 2 gr. 20, gładkie stojące wystębnowane w maszynie, wypadają na złp. 1. Wobec tak nizkiéj ceny, czyż warto się mozolić nad kołnierzykiem, kiedy można nierównie korzystniéj użyć czasu, na inną pożyteczniejszą robotę.

W tymże składzie można dostać gotowych koszul męzkich, rozmaitéj miary, z angielskiemi lub wykładanemi kołnierzami, w cenie od złp. 20 do 36 najdrożéj. Koszule nocne męzkie, na złp. 10, dosyć za tę cenę są cienkie, i bardzo starannie uszyte.

Nowości Zagraniczne.

Musée des familles. Do ozdoby letnich sukien, używają liści koronkowych czarnych, wyrabianych osobno, które naszywają, u dołu spódnicy, nad obrębem, na epoletach i staniku.

Niektóre suknie wełniane wycinają u dołu w ostre zęby, które obszywają aksamitką. Aksamitka ta w górze przechodzi powyżéj zębów i krzyżuje się tworząc literę X. Rękawy i epolety mają być zakończone tak samo.

W czasie upałów powszechnie noszą suknie grenadinowe, na jedwabnych, spódnica powinna być gładka. Stanik wysoki na wyciętéj podszewce, przybrany pasmanterją, otoczony szarfą z szerokiemi końcami, rękawy rozcięte do łokcia, zakończone w górze epoletem.

Kapelusz do tego krepowy czarny, przybrany bukietem z czarnego owsa, pokryty na rondzie barbą koronkową, przewiązana lekko pod brodą.

Uważaliśmy też inny kapelusz popielaty włosiany z jedném piórem białém, drugiém czarném.

Paletoty i rotondy jedwabne czarne równéj zawsze używają wziętości. Na upały noszą także rotondy białe muszlinowe, naszywane czarno, Garybaldki białe haftowane czarną wełną lub jedwabiem, powszechnie się podobają.

O MIEDZIANYCH NACZYNIACH.

Czystość i porządek kuchni, stanowią główne zalety gospodyń domu, to też w przyborach kuchennych szukały one zawsze i szukają popisu, i zasłużonéj pochwały. Naczynia miedziane ważną tu odgrywają rolę, bo mozolne i pracowite oczyszczanie ich, tém więcéj jeszcze rekommenduje gospodynię. Weszłe obecnie w użycie naczynia blaszane jak rądelki, łyżki czerpakowe, nie mają tych co miedź przymiotów, bowiem blacha, wystawiona na ogień wkrótce przepala się, czernieje, i jest nie do oczyszczenia.

Nie chcemy tu pisać artykułu o wyższości miedzi nad blachą, ani téż przypominać, że miedż najbardziéj nawet zużyta, ma swoją wartość, gdy blacha jéj niema; nie chcemy wywoływać współzawodnictwa pań naszych o kuchenną reprezentację, ale powodowani kilkokrotnemi zapytaniami z prowincji, o cenę i miejsce dobrych wyrobów kotlarskich, chcemy zdać sprawę z naszego pod tym względem przeglądu.

Rzemiosła nasze pó większéj części znajdują się w ręku ościennych cudzoziemców. Chętnie dzieliliśmy się z niemi kawałkiem chleba, bo go nie brakowało, a nakazywała nam to i wdzięczność za przysposabianie młodzieży naszéj do rzemiosł, za co jak nam się zdaje ci nauczyciele hojnie zostali wynagrodzeni, bo oprócz zyskiwania rąk do pracy, pozostała u ogółu opinja, samo przez się rozumie się, wyższa dla nauczycieli aniżeli dla uczni, a ztąd i zarobku więcéj u nich niżeli u naszych. Kiedy jednakże dzisiaj, z powodu ogólnéj stagnacji, w handlu, i w rzemiosłach, brak zarobku coraz bardziéj uczuwać się daje, zapewne nikt nam za złe nie weźmie, jeżeli trzymając się starego przysłowia, „pierwsza miłość od siebie" rekomendować będziemy fabryki współziomków, tém bardziéj gdy sumiennie powiedzieć możemy, że wyroby ich w niczém nie ustępują wyrobom tamtych, przy jednakowych cenach, i gdy grosz zebrany przez naszych, jakoś pożyteczniejszy jest dla kraju, niż kapitały samolubnych cudzoziemców.

Wracając do kotlarstwa powiemy, że w mieście naszém jest fabryk 7. Z tych jedna przy ulicy Elektoralnéj, pod Nr. 9 utrzymywana 'przez wdowę po ś. p. Kornowskim, bezzaprzeczenie na wzgląd i uznanie ogółu zasługuje.

Widzieliśmy tam kotły i kociołki, rądle i rądelki, sagany, kopraki i kopraczki, od największych wymiarów aż do 1 kwarty; wanienki, brytwanny, patelnie, menażki, konewki, dzbanki, czerpaki do wody, wykończone starannie i z gustem.

Z naczyń tych, rądle z tak nazwanemi pokrywami angielskiemi, które oddzielnie wzięte służą za patelnie, wanienki do gotowania ryb z wewnętrznemi durszlakami, są praktyczne, wygodne, a wykończone tak dokładnie, że na ich powierzchni nie znać prawie uderzeń młotka, co jest zwyczajném przy tego rodzaju kutych wyrobach.

Rozmiary rądli, są tak zastosowane, że jedne wchodzą w drugie, co w podróży, lub przeprowadzaniu się przedstawia niemałą dogodność. Rądelki podróżne są lekkie i wraz z podstawką i naczyniem do spirytusu mało zajmują miejsca.

Wyroby miedziane sprzedają się po cenie złp. 4 za funt.

Nie wszystkie jednak naczynia miedziane, płacą się od wagi, są i takie, w których więcéj popłaca robota i pobielanie niżeli materjał, do tych należą łyżki czerpakowe, durszlakowe, do szumowin, a wreszcie formy do legumin. Te ostatnie wykonane ze sztuką bardzo są piękne, jedne są w proste paluszki, inne ornamentowane w wieżyczki, a jeszcze inne opięte liściem winogradowym. Ceny ich względnie do wielkości i rysunku, wynoszą od rs. 2 do rs. 5.

Oprócz tego widzieliśmy wyroby specjalnego użytku, jakoto: konwie, tace z durszlakami, kocioł do pralni domowéj ogólnéj, z kranem mosiężnym, wykonane trwale i nie do zużycia. Cena takich wyrobów również od wagi zależy.

Opis ryciny.

Figura 1. Suknia czarna wełniana, ubrana u dołu karbowanemi falbankami albo frendzlą. Stanik z karoczkiem postyljońskim z przodu formuje kamizelkę z kieszonkami. Rękawy dosyć wązkie otwarte są do łokcia i ubrane falbanką karbowaną. Kapelusz okrągły *ligueur*, ze słomy belgijskiéj przystrojony koronką i małą woalką z końcami z tyłu związanemi.

Figura 2. Suknia czarna muszlinkowa w biały rzucik obszyta u dołu plisą z gładkiego czarnego muszlinu z takąż falbanką. Na każdym brycie deseń wyszyty z wązkiéj wstążeczki jedwabnéj albo skośnéj pliski muszlinowéj. Rękawy zwierzchu ułożone w bufki i w czterech miejscach garnirowane wązką falbanką, Rękawki pod spód białe muszlinowe, albo z tiulu czarnego wełnianego. Suknia bareżowa, może bydź tak samo zrobiona.

Ubranie 6-cio letniéj dziewczynki. Suknia z moheru popielatego, garnirowana ruszami fularowemi. Stanik wycięty ubrany z przodu i na plecach ruszami imitującemi szelki na krzyż złożone. Bluzka pod spód biała muszlinowa. Kapelusz ze słomy włoskiéj opasany aksamitem czarnym.

Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki adresować prosimy: *Do J. K. Gregorowicza, ulica Żabia, Nr. 956 dom Krzemińskiego.*

Do dzisiejszego numeru, dołącza się rycina Paryzka.

w Drukarni K.Kowalewskiego. — Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.

DODATEK

Dodatek do Nru 32 Tygodnika Mód.

Warszawa dnia 8 Sierpnia 1863 roku.

STARY MOTYL.

WSPOMNIENIE PRZEZ M.......

Dalszy ciąg.

— Myślę że i nieprzyjaciel, nie mógłby mu, odmówić tych salonowych przymiotów, odrzekła zagadniona, a choć nie mnie pytałaś o przymioty jego serca, to ci powiem moje dziecię, że aby człowieka należycie ocenić, trzeba na to dłuższego jak dzisiaj czasu.

— No tak! moja Ciociu! ale jest cóś przecie danego nam od Boga, co na piérwsze wejrzenie do brze lub źle o kimś wyrokuje, a choć są wypadki, że odstąpić musiemy w przyszłości od piérwszego wniosku, jednak, coż nam szkodzi na ten raz, sąd wydać natychmiast? Jeżeli go lepiéj poznamy, przekonamy się zarazem o bystrości naszego na ludzi poglądu.

— Wiesz Helenko, mówiła po chwili Marya, jeżeli ci mam prawdę powiedzieć, sąd mój dzisiejszy dzielę na dwa peryody, do herbaty i od Herbaty. Bo przyznaj sama, że dopóki p. Lucyan rozmawiał poważnie, dopóki zachowywał ten ton tak właściwy mężczyznie jego wieku, dopóty rzeczywiście, dla mnie nawet, był czemś bardo ciekawem. Potém, gdy się żbliżył do ciebie, a urywki waszéj rozmowy dolatywały czasem ucha mego, myślałam sobie, mój Boże! to zdaje się człowiek pełen szlachetności i serca, może go jaki smutny zawód w życiu spotkał, dla tego tak mu życie to ciężkie i bezbarwne. Jakby to dobrze wypadło, żeby on na Helence się poznał, co to za szczęście byłoby dla nich obojga! Ale potem znowu, gdy herbata w jedno kółko nas połączyła, czy uważałaś, jak on stopniowo się roztrzepywał? jak w końcu prawie na dowcipach mu brakło; koncepta jego już mię nie bawiły.

— O słowo, w słowo, i ja to sobie myślałam. A co ci więcéj jeszcze powiem, że była między nami jedna chwila taka, że z najlepszego o nim mniemania wpadłam od razu na zupełnie przeciwne. Mówił wtedy o powszechnie wielbionéj swobodzie kawalerskiego stanu, i z exaltaltacyą prawie odmalował mi to życie, tak bezcelowem, tak czczem, tak smutnem, że i ja pomyślałam, że kto się tak tęsknie na nie zapatruje, musi mieć ważne powody do unikania zmiany. I chciałam mu to powiedzieć nawet, i już otwierałam usta, i podniosłam na niego dotąd w zamyśleniu spuszczone oczy; ale prędko odwróciłam je znowu ze strachem, z odrazą prawie. Siedzieliśmy przy oknie, on przy mnie tuż na wprost okna. Słońce zachodziło, a ostatni, gasnący promień. oświecił twarz jego, która tem bledsza jeszcze jak zwykle, przybrała wyraz taki złowrogi i poziomy; wyraz, który tyle zadawał fałszu ostatnim jego dowodzeniom, że straciłam ochotę przedłużenia rozmowy. Wstałam, pamiętasz i do ciebie się zbliżyłam.

— Teraz, rzecz ciekawa, czy my go téż jeszcze zobaczymy, i jak nam znowu powtórnie się przedstawi, mówiła Marya.

— Prosiłam pani Mirolaskiéj właśnie, odpowiedziała na to pani Chodowiecka, aby o Jedłówce nie zapominali, a ona mi na to, że starać się będą, aby jeszcze z swym gościem sąsiadów odwiedzili. Zdaje się więc, że to nie długo nastąpi.

— Może lepiéj byłoby, żeby ten pan wrócił tam zkąd przyjechał, odezwała się jeszcze zamyślona Helena, i nie mącił spokoju tym, którzy go na zbycie nie mają.

ROZDZIAŁ IV.

Nazajutrz rano, po wizycie pań z Jedłówki, p. Girtenfeld wstał wcześniéj jak zwykle, i wesoło mu było, i znać lekko na sercu, bo z promienną twarzą chodził po pokoju, pośpiewywał często, a nawet sam do siebie czasami się uśmiechał. Ciężyła mu nawet ta radość widocznie, chciał się z nią trochę wygadać wynurzyć, więc szukał p.

Adama, a znalazłszy, koniecznie na pogadankę do swego werbował pokoju. Ale p. Adam kwaśny był jakiś dnia tego i niegadający, wymówił się więc jakimś interesem gospodarskim, i przez całe pół dnia nie pokazał się w domu. P. Justyna byłaby niezawodnie ucieczką w tym razie, ale p. Girtenfeld wiedział, że ona zwykle rano urządza całodzienne sprawy, aby po południu być wolniejszą na zawołanie gości. Musiał więc być cierpliwym, aż do godziny trzeciéj, o któréj zwykle w Swojanicach jadano, a i wtedy, nie chcąc się wydać z zbyteczną ciekawością jaka nim miotała, bo toby zakrawało na parafiaństwo, a on przecie wyśmiewał zwykle te parafiańskie, jak nazywał grzeszki, czekał aż ktoś z domowych zacznie rozmowę o wczorajszéj wizycie.

P. Adam, był jednak ciągle chmurny, zapewne dla tego, że zbierało się na deszcz, a u niego dużo zboża na garściach leżało. P. Justyna znowu, zwykle rozmowna i wesoła, dziś przecież była zafrasowana powtarzającą się często chorobą matki i dla tego jéj słabość mając głównie na myśli, o niéj jedynie wspominała. Obiad się kończył, a tu jeszcze ani słówka o paniach z Jedłówki. P. Girtenfeld gryzł wargi z niecierpliwości, wreszcie widząc, że i od stołu wstaną, a nikt tego przedmiotu nie napocznie, a po obiedzie znów ten sam porządek, p. Adam w pole, p. Justyna do matki, a on zostanie na łasce swych domysłów, odważył się wreszcie odezwać zwracając zapytanie do swéj sąsiadki:

— Pozwoli się pani zapytać, o świetne meteory dnia wczorajszego?

— Chcesz pan zapewne wiedzieć o paniach widzianych tutaj, odparła p. Justyna, nie znosząca górno-lotnego stylu kolegi swego brata. Są to nasze sąsiadki najlepsze, najgodniejsze osoby. Pani Chodowiecka, to anioł dobroci, cierpliwości i rezygnacyi w znoszeniu często sobie przeciwnych losów. Marynia to uosobiony ideał kobiety ze wszech miar pięknie wychowanéj, a choć ich majątek na krocie się nie liczy, jednak jest to dom tyle poważany, tak odpowiedni zawsze i wszędzie ton prowadzący, że śmiało to powiem liczy się do najpiérwszych w tutejszéj okolicy.

— A ta panienka? kuzynka, wtrącił pospiesznie p. Girtenfeld.

— To panna Starska, ojciec jéj ma własność ziemską i dla tego mięszkają na wsi, choć on jest właściwie urzędnikiem; p. Starska jest blisko spokrewnioną z p. Chodowiecką, panienki dzieciństwo swe prawie razem spędziły, to też kochają się jakby siostry rodzone, a Helenka zawsze parę miesięcy do roku w Jedłówce spędza.

Obiad skończono, rozprawa się przerwała z wielkiém niezadowolnieniem p. Lucyana, któryby ją chętnie był jeszcze przedłużył.

Upłynęło dni kilka, a powrócić do niéj nie mógł, bo zawsze przyjechał ktoś obcy. Rozmawiano więc o interesach, o polityce, p. Girtenfeld nie wiele do tego się mięszał, a narzekając po cichu przed p. Adamem, że nudne wiejskie figury drażnią mu nerwy, uciekał do swego pokoju, i tam spał lub czytał.

Nareszcie jednego dnia, nie wiem znowu dla czego, pan Adam w złotym był humorze. Zaledwie słońce zeszło, wpadł do pokoju swego gościa, i zawołał wesoło:

— Ach! ty ospały mieszczuchu! nie wstydziszże się rozlegać, gdy wszystko koło ciebie w ruchu? Patrzcie! marzyciel! poeta, przyjechał niby na wieś pokrzepić swe ciało, i wzmocnić duszę, a piérwsze więzi w łóżku do godziny 8-éj lub 9-éj z rana, i pozbawia balsamicznych oddechów wstających na dzień roślin i krzewów, a drugą, pozbawia najśliczniejszego najwznioślejszego z całego dnia widoku, widoku wschodzącego słońca. I myślisz może, że ci to na sucho ujdzie? ale czekaj, leniuchu! wnet ja cię tu orzeźwię. I podbiegłszy ze szklanką wody, zaczął go skrapiać najmiłosiernie.

— Mais! — mon chere! ale cóż to! dajno pokój Adasiu! je gagnerai la fiévre, c'est sur! aha! a! krzyczał p. Girtenfeld, otulając się ściąganą ze siebie kołdrą. A gdy wreszcie, prysznic już ustał, dodał szeroko otwierając na p. Adama oczy:

— Mój kochany, musiałeś ty na czczo palnąć sobie tęgi kielich kminkówki, że cię tak niezwykle rozochociła.

— A widzisz, wymoczku! jak się sam złapałeś! Więc ty już jesteś, jednym słowem tak bez życia nijaki, że aby się natchnąć dobrym humorem, trzeba koniecznie albo kminkówki, albo też, oczów jakiéj ładnéj buzi! U mnie to nie tak mój panie!— Moja wesołość lub smutek, to ręki Bożéj tchnienie, które samo przychodzi, i samo się podziewa, sam niewiem gdzie i kiedy. Smutek, jeszcze prędzéj, choroba w domu, niepowodzenie, kłopota gospodarskie wywołują wprawdzie niejedną złą chwilę, ale prócz tego, ileż to razy nic z tego nie ma a przecież człowiek tęskny jakiś i zamyślony.

Ale co wesołość, mój bracie, przychodzi ona do mnie zawsze bez przyczyny.

— A tak zapewne! rzekł p. Girtenfeld korzystając z dobrego na razie usposobienia p. Adama, zapewne! A przypomnijże sobie owe popołudnie, kiedyś to był tak zły i gniewny że wszyscy od ciebie uciekali. Zkądże się wziął raptem karmelkowy humorek u pana Dobrodzieja, jeżeli nie z przyczyny odwiedzin ładnych sąsiadeczek?

Uśmiechnął się p. Adam z lekka i odparł:

— Słuchajno Lucyanie, jeśli chcesz o nich ze mną pogadać, służę ci chętnie, choćby na dzień cały, bo wierz mi, że jestem prawdziwym przyjacielem tych kobiet, godnych wszelkiego szacunku.

Ale w prześladowania tego rodzaju się nie wdawaj, bo ci powiem prawdę, że tego zupełnie nie lubię. No! a teraz, powiedzże mi ty stary bałamucie, jak ci się nasze wiejskie piękności podobałe?

P. Girtenfeld znać nieprzygotowany, na to obcessowe zapytanie, spojrzał znowu bacznie na mówiącego zawachał się, a potem odrzekł powoli, niby obojętnie:

— Ale, bardzo, j'en suis vraiment charmé..... p. Adam ruszył ramionami, i znowu mówił:

— A! że téż to z wami, zfrancuziałemi galantami to się i rozmówić poczciwie trudno. A jabym cię prosił, żebyś ten swój drugi język schował na popisy i wykręty przed damami. Ze mną zaś rozmawiaj tak, żebym cię zrozumiał. Bo przyznaj sam mój Lucyanie, j'en suis charmé jest to wyrażenie téj zdawkowéj grzeczności, którą w Paryżu obdarzyć możesz, zarówno damę salonu, jak i skromnę gryzetkę z bulwaru. Gdy mi zaś powiesz, jestem zachwycony! o bratku! to ja pomyślę, że to co cię oczarowało, musi być równie piękném jak szlachetném; pomyślę sobie, żeś stracił głowę, i nie odzyskasz jéj w części, aż...... u stopni ołtarza.....

— Terefere.... przerwał p. Girtenfeld, a potém zaczął się śmiać tak długo i przeciągle, że aż p. Adam zapytał, co widzi w tém śmiesznego?

— A jużciż smiesznie, i bardzo śmiesznie! Że u was wiejskiéj młodzieży, zaledwie zbliżysz się i pogadasz z kobietą, już ołtarz i stuła, zaraz wam w głowie świta.

— Bo my nie zbliżamy się, i nie rozprawiamy po całych wieczorach tylko z temi, które poznać bliżéj i zniewolić dla się mamy prawdziwe i szczere zamiary.

— A przy których stać musi nieodbicie summa co już najmniéj, gotowych sto tysięcy, wtrącił złośliwie p. Girtenfeld. Cóż, czy nie prawda Adasiu?

— Czasem i nieprawda, a choćby i prawda, dość i tak dobrego, że nigdy, nikogo nie łudzimy napróżno....

— E! e! e! dajno pokój, przerwał p. Girtenfeld, trzebaby to zrobić staranny przegląd każdego z was a dopiéro potém uwierzyć.

U nas, mój kochany, u nas w stolicy, to znowu tak się dzieje. U nas masz mój bracie najdoskonalszą pod tym względem równowagę, bo nasze panie przywykłe do téj kosmoramy uczuć, jaka się w sercach miejskiéj młodzieży odbywa, są sobie nawzajem, mądre i ostrożne ptaszki.

Więc, upatrzywszy sarenkę, wedle swéj myśli, gonisz za nią wszędzie, w teatrze, na spacerze, po balach i reunionach, jesteś jéj nieodstepnym cavaliero, zawsze na usługi gotowym. O ile cię stać na to, poisz ją i karmisz słodyczami, jeszcze słodszych słówek na pokarm serduszka zarówno nie szczędzisz, a to wszystko kończy się na tem, że panienka wyprobowawszy w tę i owę stronę, że motylek nie da sobie skrzydełek zupełnie opalić, daje raptem kominka, i zwraca się, do jakiege od lat kilku stale wzdychającego Wertera. Ciebie zaś zostowia au milién du camp, swobodnego w wyborze innéj czarodziejki....

Czasem i tak bywa, że spostrzegłszy kogóś co cię silniéj spęta, jak dotąd ubóstwiona, sam starasz się z piérwszych sieci wycofać. Ale sądzisz że wielki ci ciężar przez to na sumienie spada? bynajmniéj, możesz być pewnym, że opuszczona nie zapłacze pewnie łzami Dydony, pokręci troszkę noskiem, i pocieszy się wkrótce kim drugim. Czasem...! o! i tak się zdarzy!.... że się nieopatrzysz, gdy w łapkę wpadniesz.... nie mając całkiem tego projektu. Czasem, bałamucimy długo, a w końcu.... już stare wróble, na plewy, złapać się pozwolimy..... dodał Warszawiak z westchnieniem, jakby jakie niemiłe widmo wspomnienia, przesunęło mu się przed oczami.

— I dobrze Wam tak, nie żałuję was wcale, nie żałowałbym zarówno ciebie Lucyanie, gdyby ci się cóś takiego trafiło. Kiedy bowiem młody szaleje, to jakoś, przystojnie mu z tem nawet, ale komu czwarty krzyżyk zajrzał już podobno w oczy, to! mógłby sobie powiedzieć basta! i wybrawszy sobie poczciwą rozsądną jaką dziewczynkę, ożenić się, ustalić.... Boć przecie, nie myślisz, abyś komu dziś jeszcze mógł zawrócić głowę?....

— O, co do tego, soyez tranquille, odparł p. Girtenfeld z przekąsém, nie rad widać przymówkom kolegi. Wasze parafialne gąseczki, to znów co innego, wszystko co wyżéj powiedziałem, do nich stosować nie można.

Bo tylko, *imaginez*, sam powiadasz, że żaden z was nie zbliży się często i na długo do panny, o którą starać się nie myśli. Zresztą, kiedyż się tu zbliżyć? Widujecie się co najczęściéj raz w miesiąc, sztywnie i setykietalnie, trochę swobodniéj, i poufaléj dwa lub trzy razy do roku, na jakimś tam balu, lub imieninach sąsiada. Panienki wasze, zamiast praktyczniéć, oswajać się z życiem, tak jak wychowanki stolicy od dzieciństwa prawie, przeciwnie, idealizują sobie to życie, stwarzają świat inny, świat przywidzeń i marzeń, w którym

my, mężczyzni, herosy tych nowo urodzonych planet, chodzimy, mówimy, kochamy, tak, jak tylko mniéj lub więcéj bujna fantazya marzycielki, podyktować nam może. Że wy hreczkosieje, stanowicie wyraźny kontrast z ich ideałami, boście do wszystkiego leniwi, co wam tylko oczywistéj nie przynosi korzyści, więc nie stać was nawet na tyle, aby panienki zabawić i rozsmieszyć. Z tego wypada, że dla nas Warszawiaków, co to z łatwością dla swojéj i cudzéj przyjemności potrafim i tańcować i godzinki śpiewać, dla nas, otwiera się tu na wsi raj tryumfów i sercowych zdobyczy.

Na to, nie trzeba być wcale młodziutkim, trzeba umieć żyć, ot i cały sekret.

Ma parole, dodał po chwili, w przeciągu miesiąca, podejmuję się rozkochać wszystkie panny na około!!

Pan Adam, ruszył z lekka ramionami i odrzekł:

— Jeżeli mówisz, wszystkie, to ci powiem żebyś ich tu nie wiele naliczył. Ale, rozkochaj tylko te, które będziesz widywał, a przyznam ci słuszność we wszystkiem co mówiłeś, i sam wieniec lauru włożę na twe zwycięzkie skronie.

— Więc na początek . . . .

— Ale co tam o początku mówisz, przerwał impetycznie p. Adam. Tyś już zrobił początek.

Cóż to myślisz, że my tu oczów i uszów nie mamy? Dobrześ ty piérwszych naprzewracał kiedyś pannie Helenie, naszermował językiem, różnych niepotrzebnych rzeczy . . . . .

— Bo przystojna i niegłupia dziewczynka, elle n'est pas mal du tout. I jakże sądzisz? cóż ona na to?

— O! tylko mnie o to nie pytaj! bo ja się całkiem na nich nie znam. Kiedy chcesz i umiesz pukać, umiejże zgadnąć, otworzą ci czy nie?

— A! zapewne, jeszczeby tego brakowało, żeby ta polna róża główkę odwróciła. Nie widziałżeś zresztą jak stopniowo kraśniała, jak się zamyślała i ślicznie patrzyła O! c'est presque fini avec ce joujoux là.

— Skończone nie skończone, bo na oczy i zadumki naszych wiejskich dziewoji, liczyć także zbytecznie nie radzę. Ale zresztą, życzę wszelkiego szczęścia, i zdobyczy. Jak zobaczę, żes wygrał, może i ja ochoty do bałamutki nabiorę.

— A propos, Adasiu, Adaleczku, wszak pojedziemy kiedy do Jedłówki?

— I owszem mój drogi, pogadam z kobietami i kiedykolwiek, jutro, pojutrze, może to nastąpić. A teraz do widzenia, bo mnie już czas w pole.

ROZDZIAŁ V.

Jednostajnie dzień za dniem płynął czas mieszkankom Jedłówki. Pani Chodowiecka od lat kilkunastu wdowa, dźwigała na swych kobiecych ramionach cały ciężar gospodarstwa i interessów, które z powodów od niéj niezależnych, bezustannie się wikłały, przynosząc zacnéj niewieście mnóstwo kłopotów i zajęć.

Teraz, były to właśnie żniwa, całoroczne nadzieje rolnika, to też p. Chodowiecka większą część dnia spędzała w stodołach, pilnując sama rachunku zwożonych snopów. A panienki jak zwykle wolniejsze w rozporzędzeniu czasem, dzieliły go między muzykę, czytanie, przechadzki, robotę, i gawędkę.

A miłe były te pogadanki dla dwóch kuzynek. Znając się od dzieciństwa, znały zarazem dobrze swą przeszłość, radości i smutki, usposobienia, i swoje dążności. Serdecznie i prawdziwie względem siebie życzliwe, mówiły co myślały, nie lękając się wzajemnie szkodliwego dla siebie sądu. A choć najczęściéj, odmiennem było ich widzenie rzeczy, to nie tylko nie przeszkadzało to do najlepszéj harmonii i zgody, lecz owszem, podsycało rozmowę, czyniąc ją nieraz bardzo zajmującą.

Trzeba przyznać, że od tygodnia, czyli od powrotu z Swojanic, pogadanka, zacząwszy od dalekich, odrębnych przedmiotów, kończyła się najczęściéj na świeżo w okolicę spadłym meteorze. O ile przecież z jednéj strony miłość własna p. Girtenfeld byłaby mocno zadowolnioną z téj pamięci o nim panienek, o tyle, wątpię, aby był kontent z każdego o sobie wspomnienia. Bo im daléj były od tego dnia, w którym nieźle im się przez swą przyjemność towarzyską zalecił, tem skłonniejsze się czuły, jeżeli już nie do surowego o nim sądu, to do lekkich śmieszek i żarcików, przez jego trzpiotalstwo wywołanych. Jednak, pragnęły go widzieć znowu, aby się jeszcze ubawić i uśmiać jak mówiła Marya, i poznać, co to za człowiek? dodawała z cicha Helena.

(d. c. n.)

DONIESIENIE.



Nº 94.

TYGODNIK MÓD